

MARCIN
WROŃSKI
a na imię jej
będzie Aniela





Marcin Wroński (ur. 1972) – w latach 90. związany z trzecim obiegiem literackim, publikował m.in. w artzinach „Lampa i Iskra Boża”, „Mała Ulicznica” i „Brytan OD NOWA”. Zadebiutował zbiorem opowiadań *Udo Pani Nocy* (1992), dwa lata później ukazała się jego pijacko-przygodowa mikropowieść *Obsesyjny motyw babiego lata*. Tworzył też piosenki i skecze dla prowadzonego przez siebie kabaretu „Osoby o Nieustalonej Tożsamości”, był dziennikarzem radiowym i nauczycielem, pisał książki dla dzieci. W 2007 roku opublikował pierwszy kryminał o komisarzu Maciejewskim, *Morderstwo pod cenzurą*, a rok później kolejny, *Kino Venus*, oba nominowane do prestiżowych nagród i omawiane przez wielu krytyków. Ostatnio wydał thriller *Officium Secretum. Pies Pański* (W.A.B. 2010); pracuje nad czwartym tomem z serii o Maciejewskim oraz sztuką teatralną o Józefie Czechowiczu.

W związku z premierą powieści *A na imię jej będzie Aniela* Wydawnictwo W.A.B. wznowiło *Morderstwo pod cenzurą* oraz *Kino Venus* (z płytą *Kryminalny Lublin*).

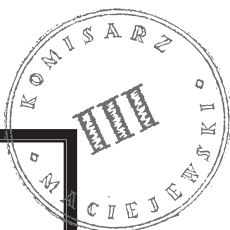
Strona autorska:

www.marcinwronski.art.pl

MARCIN

WROŃSKI

a na imię jej
będzie Aniela



GIANRICO CAROFIGLIO
Świadek mimo woli
Z zamkniętymi oczami
Ponad wszelką wątpliwość

TADEUSZ CEGIELSKI
Morderstwo w alei Róż

MARIUSZ CZUBAJ
21:37

RYSZARD ĆWIRLEJ
Ręczna robota

MARTHA GRIMES
Hotel Paradise
Stacja Cold Flat Junction
Hotel Belle Rouen
Pod Huncwotem
Pod Przechytrzonym Lisem
Pod Anodynowym Naszyjnikiem
Pod Zawianym Kaczorem

WIKTOR HAGEN
Granatowa krew

ARNALDUR INDRIDASON
W bagnie
Grobowa cisza

JEAN-CLAUDE IZZO
Total Cheops
Szurmo
Solea

TOMASZ KONATKOWSKI
Przystanek Śmierć
Wilcza wyspa
Nie ma takiego miasta

MAREK KRAJEWSKI
Widma w mieście Breslau
Festung Breslau
Dżuma w Breslau
Głowa Minotaura

MAREK KRAJEWSKI, MARIUSZ CZUBAJ
Aleja samobójców
Róże cmentarne

JENS LAPIDUS
Szybki cash

HENNING MANKELL
Morderca bez twarzy
Psy z Rygi
Biała lwica
>>>

Mężczyzna, który się uśmiechał
Fałszywy trop
Pięta kobieta
O krok
Zapora
Chińczyk
Niespokojny człowiek

ALEKSANDRA MARININA
Kolacja z zabójcą
Gra na cudzym boisku
Ukradziony sen
Złowroga pętla
Śmierć i trochę miłości
Męskie gry
Zabójca mimo woli
Plotki giną pierwsze
Czarna lista

ZYGMUNT MIŁOSZEWSKI
Uwikłanie

DENISE MINA
Pole krwi
Martwa godzina
Ostatnie tchnienie

MARTA MIZURO, ROBERT OSTASZEWSKI
Kogo kocham, kogo lubię

KARINA OBARA
Gracze

HEINRICH STEINFEST
Subtelny nos Lilli Steinbeck

JOANNA SZYMCZYK
Ewa i złoty kot

MARCIN WROŃSKI
Morderstwo pod cenzurą
Kino Venus
A na imię jej będzie Aniela



MRO CZYNA
SERIA

MARCIN
WROŃSKI

a na imię jej
będzie Aniela

Copyright © by Wydawnictwo w.A.B., 2011

Wydanie I

Warszawa 2011

Prolog

To ostatnia niedzie... *To ostatnia niedzie... To ostatnia niedzie...* – śpiewał w kółko Mieczysław Fogg, choć niezdarta poprzedniego wieczoru kartka z kalendarza pokazywała co innego: czwartek 8 września 1938 roku, imieniny Adama, Adriana i Adrianny, Marii, Serafiny oraz Teofila.

Przodownika Prokopczuka korciło, by zerknąć na nazwę wydawcy, jednak nie śmiał dotknąć kartki, na której dostrzegł krwawy, rozmazany ślad palca. Imiona zawsze go ciekawiły, niestety większość kalendarzy, jak choćby ten kupiony przez jego żonę, na każdy dzień serwowała ledwie trzech świętych. Tutaj uhonorowano aż sześciu.

A jeszcze przed kwadransem zapowiadało się na całkiem banalną interwencję!

– To jest nie do wytrzymania, panie, nie do wytrzymania! – Wykrzykiwał pulchny staruszek w powycieranej bonżurce, który sprowadził do kamienicy przy Zielnej policjantów z IV Komisariatu. – Ja mam, panie, słabe serce, żona zupełnie zszargane nerwy, a ta latawica, panie, całą noc gra na gramofonie! Można pukać w ścianę, stukać, panie, szczotką, a ta nic sobie nie robi. Niech władza ją nauczy, bo to nie można tak, nie! – Staruszek zaniósł się chrapliwym kaszlem

i splunął w chusteczkę. Grubym paluchem popukał w futrynę, z której zaczynała schodzić beżowa farba.

Prokopczuk odwrócił się i powiódł groźnym wzrokiem po obojętnej twarzy dozorca oraz młodego posterunkowego Orczaka, który co chwila przymykał czerwone z niewyspania oczy. A potem zapukał dwa razy i nacisnął na klamkę. Drzwi otworzyły się z cichym skrzypnięciem, Fogg zaśpiewał głośniej, zaś Prokopczukowi od razu wpadł w oczy ów zakrwawiony kalendarz wiszący na otwartych drzwiach kuchni.

– Proszę nie wchodzić! – Rozkazał obu mężczyznom pchającym się do mieszkania. – Orczak, przypilnujcie!

„Tę latawicę” znalazł na sofie w salonie. Pótleżała z biodrami wysuniętymi do przodu i zadartą spódnicą przykrywającą nieco strzępy bluzki. Szkliste oczy martwej dziewczyny patrzyły na gramofon. Różowe majtki i jedna z pończoch walały się na podłodze.

– *To ostatnia niedzie... To ostatnia niedzie...* – nadal upierał się Fogg. Fogg Mieczysław, sławny jednak nie z miecza, a ze swych tang. Jako świadek morderstwa nieprzydatny.

Przodownik Prokopczuk, upewniwszy się, że pasek pod brodą leży dość urzędowo, wyszedł na korytarz. Posterunkowy odkleił się od ściany i poprawił czapkę. Dozorcy już nie było, tylko parę stopni niżej sąsiad sapał nerwowo, co chwila teatralnie zatykając sobie uszy.

– Orczak, mamy zabójstwo. Wróćcie na komisariat i zawiadomicie natychmiast Wydział Śledczy – polecił Prokopczuk.

– Panie władzo – jęknął staruszek w bonzurce – ja rozumiem, morderstwo nie fatalaszka, ale nie można by wyłączyć tego przekłętego gramofonu?

Aniela Biernacka, lat dwadzieścia dwa, służąca – wskazał denatkę wywiadowca Tadeusz Zielny. Rękaw jego dwurzędowej marynarki podjechał nieco do góry, eksponując złotą spinkę i mankiet już niekoniecznie śnieżnobiałej koszuli.

– Na dywanie coś było? – zapytał komisarz Zygmunt Maciejewski, przyglądając się czerwono-zielonemu motywowi na brzegach tkaniny. Co drugi kwiat miał rozchylony kielich, pozostałe, dopiero wzbierające w pąki, przypominały fallusy jakichś nieziemskich istot wycelowane między nogi dziewczyny.

– Nie, nawet błota. Wyczyścił porządnie buty, zanim przyszedł na schadzkę.

Maciejewski przyklęknął o wyciągnięcie ręki od zabitej. Jej oczy patrzyły teraz gdzieś ponad zdefasonowanym kapełuszem policjanta, a ślady po palcach dusiciela ułożyły się w jedną linię z sińcem na twarzy.

Zyga uświadomił sobie, że tak samo musiał klęczeć przy niej morderca, i to nie tak dawno, ledwie kilka godzin wcześniej. Krew zastygła na włosach łonowych dziewczyny, nie spotykane jasnych, niemal ciemny blond, a stężałe męskie nasienie brudziło obicie kanapy.

– *To ostatnia niedzie... To ostatnia niedzie...* – wciąż sztychł gramofon.

– Odcisków też nie zostawił – dodał wywiadowca, przygłuszając płytę.

– A to? – Maciejewski wskazał czerwonawe smugi nad biustem ofiary.

– Mnie to wygląda na ślady po zakrwawionych rękawiczkach, panie kierowniku – podrapał się w głowę tajniak. – Ale dziwne, jakby z płótna, z cienkiej wełny...

– Kto na początku września nosi wełniane rękawiczki?! – Komisarz wstał i podszedł do gramofonu. – Nie dosłuchała płyty... Sąsiedzi powiedzieli, o której się zacięła?

– Nie – odparł zwalisty wywiadowca Witold Fałniewicz, stając w drzwiach. – W kuchni poza tym odciskiem na kalendarzu czysto, panie kierowniku. Kolacja na dwie osoby, wino. Ja bym obstawiał, że tam zaatakował, a potem przywłókł tutaj.

– I nikt, cholera, nie wie, o której godzinie?! – Zyga z sapaniem dźwignął się na nogi. Czasy, kiedy boksował w wadze półciężkiej, należały już do historii. – Sąsiedzi wściekli, że hałas po nocy, ale żeby spojrzeć na zegarek, to już nie ma nikogo? Fałniewicz, Zielny, idźcie i przyciśnijcie jeszcze raz tych przez ścianę. Fałniewicz faceta, a ty starą. Ja zaczekam na sędziego śledczego.

– Interesujące zajęcie – uśmiechnął się krzywo Zielny, od-ruchowo przyglądając włosy.

– Tak, warto było zostać komisarzem. Do roboty – burknął Maciejewski. Po chwili został sam na sam z trupem. I Mieczysławem Foggiem, co raz urywającym piosenkę w pół frazy.

Zyga zapisał słowa, na których zapewne już po morderstwie zacięła się płyta, i wyszarpnął z gniazdka wtyczkę gramofonu. Płyta, szybko zwalnająca obroty, wydała jeszcze jęklivy dźwięk, nieprzypominający ludzkiego głosu. Komisarz dla pewności zmierzył odległość, na której zatrzymała się igła; wyszło dokładnie siedem i pół centymetra od środka. Nie słyszał co prawda, aby kiedyś w sądzie wykorzystano podobny dowód, jeśli jednak do tego dojdzie, piosenkarz powinien być mu wdzięczny za tak oryginalną reklamę.

Brak odcisków palców nieszczególnie martwił Maciejewskiego; takie przestępstwa popełniają najczęściej znajomi, a tych bez wątplenia wskażą zawiadomieni telegraficznie

pracodawcy dziewczyny, kiedy wrócą z Warszawy. Najwcześniej wieczornym pociągiem, uzupełnił komisarz. Do tego czasu powinien mieć już nawet raport z sekcji zwłok.

Jeszcze raz przeszedł się po pokoju, rzucił okiem na tytuły książek w oszklonej biblioteczkce, z których tylko *Program światowej polityki żydowskiej* księdza Trzeciaka oraz *Mysli nowoczesnego Polaka* Dmowskiego sprawiały wrażenie przeglądanych. Na stojącym w rogu stoliku do kart leżały nierozcięte numery „Głosu Lubelskiego” z ostatniego tygodnia.

– Prawy obywatel – mruknął z przekąsem Zyga, mając wrażenie, jakby poznał już osobiście właściciela mieszkania. Sięgnął po ostatni numer gazety i rozsiadł się w fotelu.

Czerwone piekło w Hiszpanji

Wojska gen. Franco kontynuują zwycięski marsz w stronę Morza Śródziemnego, opanowując większe miasta. Wraz z postępami ofensywy wychodzą na jaw kolejne okrutne zbrodnie popełniane przez komunistów, głównie na duchownych. „Hiszpanja znacznie prześcignęła Sowiety w walce z Kościołem” – z satysfakcją donosił do Moskwy przywódca Partji Komunistycznej Hiszpanji, José Diaz. Tysiące zamęczonych na śmierć księży, dziesiątki tysięcy sprofanowanych kościołów Polaków również nie mogą pozostawić obojętnymi.

Chlubimy się piękną kartą, jaką w naszej historii była bohaterska obrona Częstochowy. Hiszpańska Częstochowa, sanktuarjum Matki Bożej z la Cabeza, przez długie miesiące w nierównej walce odpierało ataki bolszewickich hord. Te w zeszłym roku, dokładnie 1 maja, przypuściły wściekły szturm, w wyniku którego poległ dowódca obrońców,

kpt. Cortes. Do kościoła, gdzie szukały ochrony i pociechy duchowej liczne kobiety, wdarły się oddziały tzw. rządowe, po czym nastąpiły przerażające gwałty, mordy i akty grabieży.

My w Polsce dobrze pamiętamy podobne okrucieństwa z wojny z Sowiecami w 1920 roku. Dlatego nie po raz pierwszy przychodzi nam pytać o przyczyny, dla których nasze państwo zachowuje neutralność, zamiast wzorem Niemiec i Włoch wesprzeć tych, którzy tak jak my przed 18 laty, bronią Europy przed bolszewizmem. Warto je zadać tem bardziej, że jak się dowiadujemy, wśród oprawców kobiet w la Cabeza znaleźli się polscy komuniści z Brygad...

– A pan co?! – Zanim Maciejewski przeczytał artykuł, do pokoju wpadł lekarz sądowy, doktor Krępiel. – Ja musiałem zostawić pacjentów, a pan komisarz gazetkę sobie czyta?

– Donieś pan, władze się ucieszą. – Zyga odłożył „Głos” na stolik. – A na razie rób pan swoje.

*

I ja to panom mówię, ten wasz Maciejewski wywróci się na tym jak nic! – stwierdził autorytatywnie Prokopczuk.

„Gospoda Chrześcijańska” była prawie pusta, jak to zwykle między obiadem a piwkiem po robocie. Oprócz mundurowego przodownika i dwóch tajniaków z Wydziału Śledczego na sali przez chwilę siedział tylko jakiś drobny urzędnik magistracki, który wyniósł się, pochłonawszy bułkę i herbatę.

– Wywróci – powtórzył Prokopczuk, łyknąwszy piwa. – Ja do zeszłego roku służyłem we Lwowie i napatrzyłem się na takie rzeczy...

– Ta, to sie wi – wszedł mu w zdanie Zielny. – U was we Lwowie...

– Tyle pan wiesz o Lwowie, co z radio... – obruszył się przodownik.

– No nie! – wybuchnął śmiechem Fańiewicz. – Oglądał też filmy ze Szczepciem i Tońciem.

– W polskiej policji jest tylko dwóch ludzi, którzy daliby sobie radę z taką sprawą – mundurowy powiedział to chyba już po raz trzeci – Przygoda z Warszawy i Popielski od nas ze Lwowa.

– Przygoda? – Zielny zdmuchnął pianę znad krawędzi kufła. – Przygoda mało kierownika w dupę nie pocałował w trzydziestym pierwszym. Tak, panie Prokopczuk, w dupę! Znasz pan sprawę gangu alfonsów?

– A co tam alfonsi! Panie, panie, jeszcze bombę! – Przodownik dopił swoje piwo i skinął na kelnera. – Toż to regularny zboczeniec!

– Przygoda? – nie zrozumiał Fańiewicz.

– Gdzie tam! – obruszył się Prokopczuk. – Zabójca Biernackiej. Popielski...

– Popielski podobno coś nie tego z głową. – Zielny pokręcił palcem przy skroni. – Słyszałem, że epileptyk czy coś.

– Gówno prawda! – Prokopczuk zapalił papierosa i zaciągnął się głęboko. – A to jest sprawa jak raz dla Popielskiego!

– Nie drzyj się pan na całą knajpę – syknął Fańiewicz.

Przodownik zerknął za siebie, ale wzruszył tylko ramionami. Siedzieli w kącie sali, a kelner dopiero ruszał spod kontuaru.

– A z czego pan wnioskuje, że zboczeniec? – zapytał Zielny, poprawiając krawat.

– Ano z tego... Żebyś pan tak za pogrzebem szedł jak z tym piwem – burknął Prokopczuk do kelnera i zaraz umoczył wąsy w gęstej pianie. – Aaa, dobre, chociaż lubelskie. No to tak, *primo*, z mieszkania nic nie zginęło. *Secundo*, ofiara była w tym domu za tłuka, służącą znaczy, a kto morduje służącą w domu jej państwa? Tylko jakiś... eee... – Chwilę szukał w pamięci słowa. – ...Perwersant! *Tertio*, gramofon jójczył całą noc, inaczej kartka z kalendarza byłaby zdarta. No i... – Przodownik chciał inteligentnie powiedzieć „po czwarte”, niestety, zabrakło mu łaciny.

– No i? – zaśmiał się Zielny. – Co ma do tego kartka z kalendarza?

Prokopczuk zdusił niedopałek w popielnicy z grubego matowego szkła. Faktycznie, może i nic. Kartka jak to kartka, ale on chyba by nie usnął, nie zdarłszy jej i nie podzieliwszy się ze ślubną ot choćby taką refleksją: „Czy to nie jutro wypadają imieniny Bolcia Jagielaka? No tego, co pracował w rozlewni u Smirnowa!”.

– Chodzi panu, że skoro służąca nie zdarła kartki, to musiała umrzeć wieczorem? – wyratował go Fałniewicz i przodownik spojrział na tajniaka z niekłamaną wdzięcznością.

– Ale co z tego, że wieczorem? – prychnął Zielny, zaś Prokopczuk popatrzył z odrazą na jego wyglansowaną fryzurę.

– Bo czwarta rzecz jest taka: ta dziewczyna nazywała się przecież Aniela.

– Aniela?! – Teraz obaj wywiadowcy wyraźnie nie nadawali za rozumowaniem przodownika.

Ten uśmiechnął się z wyższością i dłuższą chwilę powolnymi łykami opróżnił kufel.

– Imieniny Anieli wypadają właśnie dziś – oznajmił wreszcie. – Dziś, dziewiątego. Anieli, Piotra, Augustyna, Jacka, Franciszka i tego no... jak mu tam... Gorgoniusza!

– Gorgoniusza... – Zielny z politowaniem pokiwał głową. Jednak Fańiewicz potraktował sprawę poważnie, bo wyciągnął notes i króciutki ołówek.

– Pozwoli pan, że sporządzę notatkę.

– Sporządzaj pan sobie, co mi tam! – Prokopczuk dopił piwo i z rozmachem odstawił kufel. – Mówię panom, Maciejewski nie da rady. Tu mi kaktus wyrośnie!

*

Inżynier Franciszek Stanowicz, ledwie wysiadł z pociągu, nic nie robił, tylko współpracował. Według Zygi, jakby był urodzonym legalistą... lub miał coś do ukrycia. Zanim wieczorem zjawił się w gabinecie komisarza na Staszica, śledczy zebrali już o nim sporo informacji od swoich wywiadowców: fachowiec, społecznik, zwolennik umiarkowanej prawicy, same laurki!

Maciejewski nie wezwał maszynistki, mimo to zaczął od policyjnego rytuału: imię, nazwisko, imię ojca, wyznanie, urodzony. Ceremoniał pozornie zbędny, bo w końcu wiedział, z kim rozmawiał, jednak rytuał ów miał podobne zalety, jak spowiedź powszechna dla proboszcza: sączył lęk i poczucie winy, chyba że śledczy trafił na prawdziwie zatwardziałego grzesznika.

Stanowicz jednak nie wydawał się przestraszony, jedynie przybity.

– A co pan wie o jej znajomych? – zapytał w końcu Zyga.

– O znajomych? Ona była taką spokojną dziewczyną! Nie miała znajomych. Nie takich znajomych.

– Pan jest pewien? W końcu młoda, niebrzydka... – Maciejewski demonstracyjnie przejrzał zdjęcia z miejsca zbrodni.

– Panie komisarzy, my nie mamy dzieci – powiedział po chwili milczenia Stanowicz. – Wzięliśmy ją na służbę przeszło dziesięć lat temu, jeszcze jako podlotka. Anielcia była dla nas trochę jak własna córka. Znam ją – stwierdził z naciskiem.

– Znał pan – poprawił go Zyga.

Widział wielu takich społeczników korzystających na kryzysie, a wcześniej na sierotach wojennych. „Że niby źle jej płacę? Cóż z tego, skoro żywię i ubieram jak rodzoną?!”. Poza tym ileż takich „córek” zostawało kochankami panów, sposobionymi do tej roli od trzynastego, czternastego roku życia! Ze Stanowiczem komisarz miał tylko taki problem, że naprawdę dobrze patrzyło mu z oczu, i Maciejewski na razie nie chciał ryzykować skutków zbyt mocnego przyciśnięcia inżyniera.

– Gdy ją zobaczyłem tam, w kostnicy... – Stanowicz głośno przełknął ślinę. – Ja sobie tego nie potrafię wybaczyć.

– Że została sama w państwa mieszkaniu?

– To też – odparł pospiesznie Stanowicz – ale zostawała sama już wcześniej. I nigdy nikogo nie sprowadzała, bo powtarzam panu, była nieśmiała, taka zamknięta w sobie i nie miała żadnych znajomych. Tak, nikogo oprócz nas! – wykrzyknął histerycznie. – Nie powinienem był jej zostawiać właśnie teraz.

– Więc ma pan jakieś podejrzenia? – spytał oficjalnym tonem Maciejewski.

Inżynier rozluźnił krawat i odetchnął głęboko.

– To mogło być wymierzone we mnie – szepnął, nachylając się nad biurkiem. – Zemsta...

– Może pan sprecyzować? – Zyga powiedział to całkiem spokojnie, choć w głowie zaczęła mu wyc syrena, głośniejsza

niż ta podczas niedawnego próbnego alarmu gazowego. Sprawa Biernackiej ze zwyczajnie obrzydliwej stawała się niebezpieczna. Zupełnie jak morderstwo Bindera w trzydziestym.

„To nie jest krew”, powiedział przecież doktor, kiedy już przestał się denerwować z powodu nieoczekiwanego wezwania i obejrzał plamy biegnące od obojczyków przez piersi dziewczyny. „Jakiś śluz, może ropa”, dodał, wachając próbkę. Wtedy, przed ośmiu laty, też zaczęło się od zagadkowych śladów na ciele denata. Notabene był nim ówczesny redaktor naczelny ulubionej gazety Stanowicza...

– Amnestia sprzed tygodnia – westchnął inżynier, potwierdzając najgorsze polityczne podejrzenia Maciejewskiego. – Anielcia to kuzynka Bolesława Biernackiego. Podobno już wyszedł z Rawicza.

– Biernackiego, tego komunisty?

– Tak, panie komisarzu. Mówiłem panu, wzięliśmy Anielcię, bo sierota, a dalsza rodzina biedna i zupełnie niezaradna. Ale to porządni ludzie, bardzo religijni. Poza Bolkiem. Może pan sprawdzić, mieszkają na Rurach Jezuickich.

– Sprawdzimy – zgodził się Maciejewski, wiedząc, że akurat to nie będzie wymagało użycia żadnych sił policyjnych. Sam mieszkał na Rurach, więc wystarczy podpuścić sąsiadkę, starą Kapranową, a ta lepiej i szybciej niż wszyscy lubelscy tajniacy razem wzięci zgromadzi plotki o Biernackich do siódmego pokolenia wstecz. – Zastanawia mnie tylko, że pan inżynier mówi o nim „Bolek”.

– Bo Anielcia tak mówiła. – Stanowicz wyjął chusteczkę i przetarł nią czoło. – To zawsze była taka dobra, serdeczna istota! Kiedy jej kuzyn wrócił, nie pamiętam, chyba z Sowietów, i napisał list, że jest w Łodzi, to sami daliśmy

Anielci na bilet. Rodzina to rodzina. Jednak kiedy przyjechała z powrotem i zaczęła opowiadać, co on robi, to... – Inżynier zająknął się. – To pan komisarz rozumie najlepiej, że musieliśmy o tym zameldować. Anielcia popłakała się, ale też rozumiała, że tak trzeba. Że to chodzi o Polskę, a Polska jest przed rodziną.

Zyga aż zaniemówił. Jako śledczy znał to miasto lepiej, niż znały je prostytutki czy alfonsi. Codziennie stykał się z nieszkodliwymi wariatami i groźnymi idiotami, prawicą i lewicą, a nie dalej niż w zeszłym tygodniu kleryk z lubelskiego seminarium zeznawał z przekonaniem, że pewna kurwa, agentka żydo-komuny, celowo zaraziła go tryprem w imię walki z Kościołem katolickim („One tak robią. Pan komisarz nie czytał w »Rycerzu Niepokalanej«?”). Jednak faceta, który na serio mówił o Polsce w ten sposób co Stanowicz, nie spotkał od dwudziestego szóstego.

– I sądzi pan, że to mogła być zemsta?

– Tak – potwierdził z przekonaniem inżynier. – To jest możliwe.

– A zatem reasumując – Zyga zerknął do swoich notatek – panna Aniela Biernacka, zamieszkała u państwa, była osobą spokojną, religijną, niezawierającą przypadkowych znajomości. Zaś swoją cnotę pragnęła oddać jedynie przyszłemu, nieznanemu jej jeszcze mężowi – dodał, nie mogąc się powstrzymać od cynizmu. Cała ta historia, jak na jego wytrzymałość, była o wiele za słodka.

Inżynier Stanowicz jednak potaknął.

– Nie miała żadnych wrogów – kontynuował Maciejewski – poza, być może, swoim kuzynem Bolesławem Biernackim, przeciwko któremu zeznawała na policji w sprawie politycznej. Zabójstwo miało miejsce, podczas gdy oboje państwo byli

w Warszawie, zaś mieszkanie, nie po raz pierwszy i z pełnym zaufaniem, powierzyli opiece panny Biernackiej. Czy coś jeszcze?

– Nie – pokręcił głową inżynier. – Choć może jedno: ten oficer z Urzędu Śledczego, który wtedy spisał nasze zeznania, zapewniał nas o dyskrecji.

– Pamięta pan może, który to był oficer?

– Taki niewysoki mężczyzna, w okularach. Bardzo oddany służbie. Tomaszewicz? Tomasiński?

– Niewysoki i bardzo oddany służbie? – wycodził Zyga przez zęby. – To może podkomisarz Tomaszczyk?

– Tak, tak właśnie! – wykrzyknął z ożywieniem Stanowicz. – Na pewno Tomaszczyk!

Maciejewski nie zadał w końcu inżynierowi pytania, które ciągle krążyło mu po głowie: czy czasem inżynier nie przeniósł na młodą służącą uczuć innych niż niespełnione ojcowskie. Uznał, że jeszcze zdąży. Żegnając Stanowicza, myślał o notatce Fałniewicza, zakończonej jakże humorystycznie:

Ponadto wg przód. Prokopczuka, jeśli p. Kierownik rozwiąże tę sprawę, to „tu mu kaktus wyrośnie”, czego wraz ze st. przód. Zielnym nie możemy się doczekać.

Zyga był na siebie zły, że posłał swoich tajniaków na piwo z tym nowym nabytkiem lubelskiej policji. Sam doskonale rozumiał, że zakrawało to na paranoję z czasów, gdy przez krótki, acz bolesny okres, był kierownikiem komisariatu, ale co poradzić, już całkiem nie ufał mundurowym. Zaś do Komisariatu IV, który powstał kosztem nowych etatów dla jego wydziału, żywił szczególną urazę.

Tomaszczyk, świnią i nałogowy szpicel, byłby oczywiście szczęśliwy, mogąc dopiero co amnestiowanemu Biernackiemu

przyszyć sprawę kryminalną. Pewnie, Biernacki mógł komuś zlecić mokrą robotę, mógł posłać z listem do kuzynki pospolitego bandziora, jednak taki nie zadowoliliby się cnotą dziewczyny, ale wyczyściliby mieszkanie jej państwa, więc zupełnie nie pasował. Zaś polityczni, gdy zabijają osobiście, robią to zupełnie inaczej. Kula w głowę, kosa pod żebro, nawet bomba podrzucona do mieszkania...

Komisarz wyjął z górnej szuflady biurka pustą teczkę i wielkimi kulfonami napisał: „Aniela z 9 września”.

Monachium, 11 września 1964 roku

Garbaty żółty volkswagen z pociągniętą czerwonym lakierem klapą bagażnika zwolnił przy Memminger Platz. Kilku robotników spieszących z zakładów Meillera na stację Moosach prześliznęło się zmęczonym wzrokiem po samochodzie, ale tylko jeden się uśmiechnął. Może zgodnie z intencją właścicielki uznał, że auto ma wyobrażać Chińczyka pokazującego język zachodniemu światu, a może po prostu spodobała mu się siedząca za kierownicą dwudziestoparoletnia blondynka z rozpuszczonymi włosami.

Jeśli nawet, Annemarie Schlegger było to obojętne. Wrzuciła kierunkowskaz i skręciła w Rathgeberstrasse, jedną z tych podmiejskich ulic z piętrowymi domami, wziętych w kleszcze przez rozrastające się fabryki. Zaraz za rogiem stał niewielki hotelik, w którym była umówiona na wywiad.

Zaparkowała po drugiej stronie ulicy, wołała to niż wciskanie się między stłoczone auta hotelowych gości. Zarzuciła na ramię magnetofon i dla pewności jeszcze raz zajrzała do notesu. „Eugen Kraft, w związku z procesem ss-hauptsturmführera Mohlera”, przeczytała.

– Herr Kraft nie zejdzie do pani – zapowiedziała od razu rudowłosa recepcjonistka, gdy Annemarie zerknęła w stronę hotelowego bistra. – Oczekuje u siebie.

Dziennikarka spojrzała na eksponujący dekolt bawarski strój kobiety. Idiotyczny, do Oktoberfest jeszcze miesiąc, poza tym akurat niezbyt było co eksponować.

– Jaki jest pan Kraft? – zapytała wprost.

– Drugie piętro, pokój 21 – niemal proszącym tonem odparła recepcjonistka.

Idąc po schodach, Annemarie wyobraziła sobie apodyktycznego starca, zapewne noszącego ciemny garnitur pozapinany na wszystkie guziki, jakby to był wojskowy mundur. Człowieka, który nawykł do wydawania rozkazów. Otworzył jej jednak ktoś zupełnie inny: mężczyzna rzeczywiście stary, o nawet nie siwych, ale białych jak mleko włosach. Pospiesznie zapiął górny guzik jasnokawowej marynarki i ogarnął jakby nieobecny wzrokiem wąskie spodnie i męską skórzaną kurtkę dziennikarki.

– *Fräulein* Schlegger? – upewnił się. Jego oczy były teraz czujne.

– *Redakteurin* Schlegger. – Silnie uściśnęła mu rękę, ale uśmiechnęła się przy tym całkiem miło. – Dlaczego właśnie ze mną chciał pan rozmawiać?

– Bo pani mnie zrozumie. Proszę. – Wskazał jej krzesło przy czystym stole z kremowym obrusem i pedantycznie rozłożonymi serwetkami. Zwróciła także uwagę, że łóżko pana Schleggera było zaścielone równo jak w koszarach. – Tak sądzę... – dodał.

– Pozwoli pan, że zanim przejdziemy do sprawy Mohlera... – Annemarie zdjęła z ramienia magnetofon.

– Zanim przejdziemy do sprawy Mohlera, powie mi pani, kim był pani ojciec – przerwał jej mężczyzna. – Bo jeśli nie jest pani tą *Fräulein*... *Entschuldigung*, *Redakteurin* Schlegger,

będę mógł jedynie zaproponować pani obiad w restauracji na dole. W ramach przeprosin. A więc?

Sprawiał wrażenie ciepłego, a zarazem twardego człowieka, zupełnie innego niż ci, którzy zazwyczaj dzwonią do *Spiegla*, gdy na pierwszej stronie pojawi się doniesienie o kolejnym procesie zbrodniarzy wojennych. W jego głosie nie było buty ani hysterii. A jednocześnie Annemarie dostrzegła coś, co kazało jej przestać wyobrażać sobie Eugena Krafta w czarnym mundurze; teraz wydawał jej się zagubiony, obcy jak bohaterowie Camusa. Może dwadzieścia lat temu nosił raczej pasiak? Przez niego?!

– Nie pamiętam mojego ojca. – Odwróciła głowę. – Zginął na wojnie.

– Radca kryminalny Erwin Schlegger, dyrektor Kripo w dystrykcie lubelskim, Generalne Gubernatorstwo, data śmierci 11 maja 1944 roku – wyrecytował mężczyzna, z lekkim wysiłkiem schylając się po magnetofon. – Czy tak? – Postawił go na krześle i sam usiadł obok.

– Czy on...? – Annemarie przełknęła ślinę. Również rumieńce, które wystąpiły na jej policzki, były bardzo nieprofesjonalne. – Czy był zbrodniarzem jak Mohler?

– Mohlerowi sąd nie udowodnił jeszcze winy, a zatem nie mogę go tak nazwać, *Redakteurin* Schlegger – powiedział ze smutnym uśmiechem mężczyzna. – Zaś pani ojciec, bo pośrednio odpowiedziała pani na moje pytanie, zbrodniarzem na pewno nie był. Akcjonariuszem zbrodni... – zawahał się – jak każdy, kto miał nieszczęście żyć w owym czasie. Szkoda, że nie mogła pani przyjechać przedwczoraj, tak jak prosiłem.

– Czy to coś zmienia? – Ukradkiem dotknęła policzka. Już tak nie płonął.

– Proszę włączyć ten... aparat – przypomniał jej o magnetofonie. Przedwojenne słowo rozbawiło Annemarie, podobnie jak manieri starszego człowieka. – Dwa dni w tę czy w tamtą... – pokiwał głową pan Kraft. Jego wzrok znów stał się nieobecny. – Rzeczywiście, to nic nie zmienia, ale z wiekiem ludzie robią się niecierpliwi i sentymentalni. Przedwczoraj była dwudziesta piąta rocznica. A może dwudziesta szósta? W każdym razie wszystko zaczęło się 9 września...

I

„Ilustrowany Kuryer Codzienny”

cena 20 gr., 9 września 1939

(–) Po siedmiu dniach i siedmiu nocach nadludzkich zmagani, bohaterska załoga Westerplatte uległa przemocy.

*

(–) Z dniem 8 b. m. przestał obowiązywać dekret Prezydenta R. P. o wstrzymaniu wypłat przez banki. Od soboty dnia 9 b. m. wszystkie banki w Polsce przystąpią do wykonywania wypłat, oczywiście w ramach swych obecnych możliwości.

Cały plac Litewski od poprzedniego dnia był pełen ciężarówek, autobusów i aut osobowych. Nie stała wśród nich co prawda czarna, nieskazitelna limuzyna ze sztywnym proorcem Prezydenta Rzeczypospolitej, ta parkowała na Starym Mieście pod Trybunałem, ale i tak miasto zdawało się wyprężone na baczność. Wartownik w hełmie żołnierza piechoty przeszedł między samochodami, obrzucił wzrokiem kolumny uciekinierów sunące od strony Warszawy przez

reprezentacyjne Krakowskie Przedmieście, wreszcie spojrzął w górę, gdzie na błękitnym niebie falowała smuga dymu. Choć obserwował ją już przeszło godzinę, teraz w namyśle ściągnął brwi i podtrzymując hełm, aby nie opadł mu na oczy, ruszył szybszym krokiem w stronę gmachu dowództwa korpusu.

Tymczasem na dziedzińcu Komisariatu i Głównego policji stał kierownik Wydziału Śledczego, komisarz Zygmunt Maciejewski. Z piętrzącego się stosu tekturowych teczek brał po jednej, czasem przeglądał, ale częściej od razu wrzucał w ogień rozpalony wprost na bruku.

– Trąbicz Jerzy – mruknął do siebie, podnosząc kolejny skoroszyt. Tym razem nawet rozsznurował tasiemki i przerzucił kartki. Dłużej zatrzymał wzrok na pochodzącym z jesieni 1930 roku maszynopisie z przesłuchania ówczesnego redaktora naczelnego „Kurieria Lubelskiego”, od paru lat szefa jednego z działów Polskiego Radia Warszawa. Zagryzł zęby i cisnął teczkę w płomień.

Ogień nie zdążył jeszcze osmalić nabazgranego kulfonami komisarza opisu akt, gdy od strony bramy wszedł na dziedzińiec podkomisarz Tomaszczyk, śledczy polityczny z pobliskiej Komendy Wojewódzkiej. Jak zwykle ubrany był w urzędniczy garnitur, upodabniający go do nauczyciela gimnazjalnego, z tych z gruntu wrednych, od łaciny albo matematyki. Ale nie miał złowieszczonego grubego liniału w rękę, tylko przewieszoną przez ramię puszkę z maską przeciwgazową, która grzechotała przy każdym kroku.

– Znów był telefon – oznajmił, odsuwając maskę za plecy, jakby i do niego dotarło, jak głupio z nią wyglądał. – Co ty tu palisz, do cholery?

Ze sterty powoli płonących teczek zsunął się kolejny tom nieoficjalnych akt Wydziału Śledczego. Jeszcze było widać

napis: JÓZEF ZAKRZEWSKI, BOKS – KOMUNA – POEZJA AWANGARDOWA. Zygą butem wepchnął teczkę głębiej w ogień.

– Makulaturę – burknął.

– Makulaturę? Taaak – pokiwał głową tajniak z Wojewódzkiej. – A wojsko do mnie telefonuje, że dajesz znaki dymne niemieckim lotnikom.

– Takie niby indiańskie? – Maciejewski wyprostował się i rozpiął guzik znoszonej kraciastej marynarki. – Jest dzień, rozejrzyj się. Lotnicy mają wszystko jak na dłoni. Lepiej zapytaj panów oficerów, dlaczego na Rynku stoi czarny cadillac, a prezydencki porządek sterczy mu jak kutas. Jeśli ja wiem o tym od wczoraj, to niemiecka dywersja co najmniej od północy. Prezydent nas nie zaszczycił, więc po co ta pokazucha?

– Dla dodania ducha bojowego! – warknął Tomaszczyk.

Spod tylnych drzwi komisariatu dobiegł stłumiony śmiech. Dwaj zaufani tajniacy Maciejewskiego, Zielny i Fańiewicz, właśnie wyszli z budynku, niosąc kolejne akta. Który się zaśmiał, tego Tomaszczyk nie zdążył zobaczyć, ale wiedział, dobrze wiedział! Marszowy krok, jakim przodownik Zielny zbliżył się do ognia, mówił sam za siebie.

– Wiesz co? – Zyga podniósł jeden z płonących papierów i odpalił sobie papierosa, po czym dmuchnął zniecierpliwionemu śledczemu dymem w twarz. – Ty się lepiej ewakuuj, bo ja mam jeszcze robotę. A jak jakiś szwoleżer znowu zadzwoni, zapytaj, kiedy będzie w Berlinie.

– Jak pan sobie życzy, panie komisarzu. – Tomaszczyk zagryzł zęby i poprawił okulary. – Nie będę więcej świecił za pana oczami. – Odwrócił się i znów dzwoniąc maską, wyszedł za bramę.

– No i Bogu dziękować. – Maciejewski odebrał plik teczek od Zielnego i bez przeglądania wrzucił w ogień. – To wszystkie?

– Została jeszcze dolna szuflada, panie kierowniku. – Tajniak przyglądał wybrylantynowane włosy. Błyszczały tak, że też mógłby dawać sygnały świetlne nieprzyjacielskim pilotom. – Czyli w zasadzie koniec.

– W zasadzie? – skrzywił się komisarz. – To nie koniec. 9 września...

– No tak, wojna potrwa jeszcze ze trzy miesiące, na pewno – wzruszył ramionami Zielny. – Ja myślałem, że pan kierownik mówi o naszych teczkach.

– Wojna nie potrwa trzech miesięcy. – Komisarz spojrział na niego ze złością. – Gdybym tak myślał, tobym nie niszczył dziesięciu lat pracy. Ale nie chodzi mi o wojnę, tylko o mordcę Biernackiej.

– Pan kierownik uważa, że on jednak znowu zabije? – spytał niepewnie Fańiewicz.

– A ty nie? – Maciejewski wściekle zdeptał niedopałek.

Cokolwiek mruknął tajniak, zagłuszyły to syreny, najpierw kolejowe, potem fabryczne. Maciejewski spojrział w niebo, nie dostrzegł jednak żadnego samolotu: ani niemieckich heinkli, ani tym bardziej polskich myśliwców. Ostatni, który miał bronić Lublina, został zestrzelony w drugim dniu wojny. Jego wrak wciąż sterczał wbity nosem w trawiaste lotnisko wytwórni samolotów przy szosie na Krasnymstaw. Wycofujące się tamtędy wojsko miało bardzo defetystyczny widok.

– Ale ja wciąż myślę, że pan kierownik niepotrzebnie się denerwuje. – Witold Fańiewicz przyniósł kubek stojący pod ścianą policyjnego garażu i zagasił ogień.

Zyga Maciejewski popatrzył na niego spode łba. Niepotrzebnie się denerwuje! To była pierwsza tak poważna sprawa, która zdechła mu w rękach, zanim jeszcze nabrała tempa. Ślad palca na kalendarzu w mieszkaniu Stanowicza nie

nadawał się do identyfikacji, bo sprawca działał w tych cholerych rękawiczkach. Na zdaktyloskopowanie inżyniera komisarz nie dostał pozwolenia, a jedyny podejrzany, ów komunista Biernacki, po wyjściu z więzienia przemienił się w idealnego, nudnego księgowego warszawskiej spółdzielni „Społem”. Na komisariacie meldował się co tydzień z równą skrupulatnością, z jaką zliczał sumy z faktur. Obserwację zdjęto po dwóch tygodniach i nawet komisarz Przygoda, znajomy jeszcze z czasów wspólnej służby w Zamościu, nie mógł nic poradzić.

Gdyby chociaż Prokopczuk nie wyskoczył z tą swoją teorią o imieninach! Komisarz niechętnie przyznawał: była całkiem logiczna, ale co z tego? By ją potwierdzić, czekał cały rok, aż doczekał się, tyle że bombardowania miasta! Uwierał go także ten lwowski as Urzędu Śledczego, na którego cześć Prokopczuk piał długie peany! Zyga nie miał pretensji, że jedynym sławnym Maciejewskim jest uwieczniony nawet w modnych warszawskich piosenkach kat z Mokotowa, ale nie móc nic zrobić i czuć się przez to jak impotent nienawidził. Zwłaszcza gdy widziało to pół Lublina.

– Nalot za nalotem, nawet taki zboczeniec ma teraz poważniejsze zmartwienia – ciągnął Fałniewicz. – Zresztą pewnie dostał powołanie.

– Może tak, może nie – wzruszył ramionami komisarz, rozgrzebując nogą popiół. Z niszczonej akt pozostały jedynie skrawki. – Ale jeśli nie, to właśnie dziś zabije bankowo. Sam pomyśl, Fałniewicz, ilu ludzi ucieka przez Lublin, jakie tłumy, w których można się schować. Jak spadną bomby, żaden glina nie będzie się babrał w trupowisku, szukając denatki, którą wcześniej ktoś zgwałcił.

– My jednak będziemy się babrać? – westchnął ciężko Zielny i znów przejechał dłonią po włosach. Jakoś nie zarejestrował,

że w ciągu dziesięciu lat moda nieco się zmieniła i nawet kinowi amanci nie wyglądali już jak świeżo wylizani przez krowę. Ale Lublin nigdy nie był Warszawą, Jastarnią ani Truskawcem i tu więcej uchodziło. No i w kinach częściej leciały starocie niż nowości.

– Tak, my będziemy. Bo ja na jego miejscu właśnie dziś bym zabił.

9 września 1939, imieniny Anieli, myślał Zyga, idąc w stronę budynku komendy.

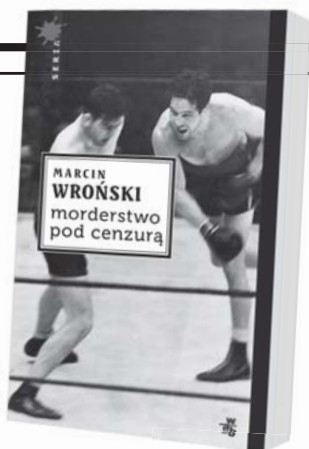
Żadnej Anieli nie znał, żadnej nie zamierzał składać życzeń. Przeciwnie, czekał na śmierć jednej z solenizantek, na potwierdzenie układanki, której fragmenty zestawiał ze sobą w głowie równo rok. A dzisiejszy dzień miał być co najmniej testem kontrolnym, przy odrobinie szczęścia także szansą na zdobycie kolejnego kawałka, który uzupełni obraz. Czy ta cholerna wojna nie mogła wybuchnąć za miesiąc, no dobrze, nawet za dwa tygodnie?

Schodząc do piwnicy, zwykle służącej jako dołek dla zatrzymanych, teraz za schron, myślał też o swoim archiwum, które kompletował ponad dziesięć lat, a teraz z żalem postanowił puścić z dymem. Cholera wie, kto położyłby na tym łapę: jakaś policyjna menda pokroju Tomaszczyka, 11 Oddział Sztabu Generalnego, Abwehra... Ktokolwiek by to nie był, nie mógł dostać haków na nieoficjalnych współpracowników Wydziału Śledczego, których komisarz poznał podczas przesłuchań, śledztw i rozrób, a którzy teraz obdarzali go zaufaniem, nieomal przyjaźnią. Maciejewski za bardzo ich potrzebował, zrosnięty z tutejszą glebą, podobno nawet urodzajną. Jeśli przeżyją.

Drzwi cel były otwarte. W pierwszej mundurowi pozywiali się pospiesznie, korzystając z nieplanowanej przerwy.

Spis rzeczy

Prolog		5
Rozdział 1939		19
Rozdział 1940		92
Rozdział 1941		155
Rozdział 1942		235
Rozdział 1943		291
Rozdział 1944		343
Epilog		423
<i>Od autora</i>		433



TRZY KRYMINAŁY Z KOMISARZEM MACIEJEWSKIM!



JUŻ
W KSIĘGARNIACH!



Polecamy także thriller
Marcina Wrońskiego!

MARCIN WRÓŃSKI
OFFICIUM
SECRETUM
PIES PANSKI

Kościół,
tajne akta
i zdrada

w
ab

Redaktor serii: Filip Modrzejewski

Redakcja: Katarzyna Arbaczevska-Matys

Korekta: Anna Jaworska, Krystyna Kiszelewska

Adiustacja: Zuzanna Kowalska

Projekt okładki i stron tytułowych: Piotr Grabowski

Logo cyklu: www.aorta.com.pl

Projekt typograficzny: Robert Oleś / d2d.pl

Logo serii: Marek Goebel

Ilustracja na I stronie okładki: © Bettmann/Corbis/FotoChannels

Zdjęcie autora na skrzydełku i IV stronie okładki: © Filip Modrzejewski

Wydawnictwo w.a.b.

02-386 Warszawa, ul. Usypiskowa 5

tel./fax (22) 646 01 74, 646 01 75, 646 05 10, 646 05 11

wab@wab.com.pl

www.wab.com.pl

Skład i łamanie: d2d.pl s.c., Kraków

ISBN 978-83-7747-261-3

Komisarz Maciejewski to oczywiście cykl retrokryminałów lubelskich, ale to także przedwojenna Polska statystyczna, taka, co to nie jest ani stolicą, ani kresami. Bawię się w nim historią i kryminalną fabułą, osobiście jednak szukam pretekstu do grzebania w przeszłości i odkopywania własnych korzeni. Szukam tego polsko-żydowskiego miasta, którego nie dane mi było zobaczyć, a dzięki temu, że o nim piszę, odnajduję równie zafascynowanych czytelników, historyków, badaczy amatorów... To oni przekonują mnie, że warto dalej pisać, więc piszę, bo wiem, że mam dla kogo.

Marcin Wroński



Okupacja hitlerowska, komisarz Maciejewski w szeregach niemieckiej Kripo ściga seryjnego zabójcę – przed nami trzeci tom cyklu Marcina Wrońskiego!

Na początku września 1938 roku lubelska policja znajduje zwłoki młodej służącej. Ofiara została zgwałcona, a na jej ciele są ślady dziwnej wydzielin. Gdy rok później miasto atakują Niemcy, w podobnych okolicznościach ginie kolejna kobieta. Niewyjaśnione zbrodnie nie dają spokoju Maciejewskiemu. Żeby móc ścigać mordercę, wstępuje w szeregi niemieckiej policji. Polskie podziemie uznaje go za zdrajcę, więc komisarz musi działać ze zdwojoną ostrożnością.

Okupacyjna rzeczywistość, terror, getto i obóz koncentracyjny na rogatkach – to wojenny krajobraz Lublina, miasta, które równocześnie tętni rozrywką i erotyką. Zygmunt Maciejewski szuka sprawiedliwości nawet wtedy, gdy zbrodnia jest na porządku dziennym...